

KOD 93

**OLIVIER
NOREK
KOD 93**

Przełożyła
Joanna Polachowska

MANDO 

Originally published under the title *Code 93*

© Éditions Michel Lafon 2013

Published by arrangement with Lester Literary Agency

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka, Dariusz Godoś

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Laurentlesax/Shutterstock

Zdjęcie autora na okładce: © Bruno Chabert

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-1657-6

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: COLONEL • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Ibook EXTRA 65 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Prolog

Marzec 2011

Wzrost mógł się zgadzać. Wiek na pewno. Co do twarzy – trudno było stwierdzić. Stary Simon sięgnął po telefon i zachowując niezbędną oględność, by nie budzić zbytnej nadziei, oznajmił:

– Być może mam pewien trop.

Głos starszej pani w słuchawce zabrzmiał niewiele głośniej od westchnienia.

– Camille?

– To jeszcze nic pewnego.

Zanim się rozłączył, podał rozmówczyni godzinę i miejsce spotkania w kostnicy paryskiego Instytutu Medycyny Sądowej.

Znaleziona w squacie na terenie gminy Lilas w departamencie Seine-Saint-Denis, na wpół naga, martwa i bez papierów, mogła mieć jakieś dwadzieścia lat. Góra. Podczas sekcji doktor Léa Marquant jednym pociągnięciem skalpela, miękkim jak niemal pieszczota, rozcięła ją od podstawy szyi po wzgórek łonowy. W otwartym ciele znać było skutki nadużywania narkotyków i alkoholu, a także wynik stosunków seksualnych tak brutalnych, że trudno przypuszczać, by odbyły się za jej

zgoda. W swojej dotychczasowej pracy lekarza sądowego doktor Marquant nigdy jeszcze nie użyła określenia „rozległa dewastacja krocza”. Jak mogło aż do tego dojść? Jakie okrucieństwa musiała znosić ta kobieta, by dosłownie nie mieć już przegrody między waginą i odbytem?

Doktor Marquant ujęła brudne dłonie zmarłej, musnęła jej włosy, a potem przesunęła palcami po ranach na jej twarzy. Rozejrzała się wokół, bo takich rzeczy się nie robi. Ściągnęła lateksowe rękawiczki i wykonała te same gesty. Uległa najgorszej z bolączek swojego zawodu – empatii.

Kiedy więc kilka dni później, przeglądając terminarz Instytutu Medycyny Sądowej, przypadkiem zobaczyła, że przewidziana jest identyfikacja ciała przez członków rodziny, zapragnęła zapewnić jej należyty przebieg. Nie musiała, ale zależało jej na tym. Ze względu na siebie. I z uwagi na Nią.

Reakcje na okazanie ciała bywają różne i nieprzewidywalne. Nieme cierpienie, które przesywa i obezwładnia tak, że można się tylko osunąć, jeśli ziemia rozstąpi się pod stopami. Mściwa wściekłość, która potrafi tylko wypierać i szuka celu, by z furią zaatakować. Żal, tak płaczliwy i głośny, że aż irytujący. Kamienny spokój, który wróży najgwałtowniejsze nawałnice.

Zobaczyła, że przyszły trzy osoby. Żadnej z nich nie знаła, lecz domyśliła się, że wyższy o półtorej głowy od pozostałych mężczyzna o posturze byłego zapaśnika musi być policjantem z okręgowego wydziału policji kryminalnej.

– Porucznik Mathias Aubin – przedstawił się krótko.

– Dzień dobry, poruczniku. Doktor Marquant. Kapitan Coste już nas nie lubi czy jest pan tu za karę?

– To sprawa, którą chciałbym zakończyć. Kapitan prosił, żebym panią od niego pozdrowił.

Jakoś sobie poradzi. Szkoda, wolałaby bardziej stonowanego Coste'a z jego nieco smutnym spojrzeniem niebieskich oczu.

Przedstawiła się rodzinie. Najpierw starszej pani na wózku inwalidzkim, potem pchającemu go młodemu mężczyźnie, po czym poprosiła, by udali się z nią do kostnicy. Policjant, cichy jak cień, podążał za nimi krok w krok.

Zanurzyli się w podziemia Instytutu, gdzie doktor Marquant otworzyła drzwi wielkiego, zimnego i cichego, przypominającego skarbiec z bankowymi skrytkami pomieszczenia z szeregami prostokątnych drzwi szerokości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów. Za każdymi kryło się czyjeś życie, czyjaś historia i czyjs koniec. Rozległ się cichy chrzęst i kostnicę wypełniło światło jarzeniówek. Sprawdziła w swojej dokumentacji numer rejestracyjny i spośród stu czterdziestu pięciu szuflad chłodniczych otworzyła drzwi tej, w której znajdowało się ciało 11-1237. Wysunęła stół na szynach, ukazując zebrany ludzki kształt okryty białym prześcieradłem.

Spojrzała pytająco na rodzinę i wydało jej się, że dostrzega w ich oczach lęk. Z dłonią na okrytych zwłokach odczekała chwilę, po czym powolnym ruchem odchyliła całun tak, by pokazać tylko zmasakrowaną twarz.

Chwilę wcześniej rosły policjant, który im towarzyszył, próbował ich uprzedzić. Chciałby powiedzieć, że ciało, które zaraz zobaczą, jest ciałem narkomanki, która być może była ich córką i siostrą, lecz z pewnością zmieniła się i postarzała, wyniszczona życiem na marginesie. Świadomie postanowił nie wspominać o przemocach seksualnej, takie szczegóły nie były konieczne, dopóki jej formalnie nie zidentyfikują. Jednak żadne ostrzeżenie ani żadne przygotowanie nie mogło im oszczędzić wstrząsu, jaki przeżyli, widząc jej odkrytą twarz.

Uwięziona w fotelu inwalidzkim matka wsparła ręce na podłokietnikach, próbując na swoich słabych nogach nieco się unieść, żeby lepiej widzieć. Władczym, choć wyraźnie zdławionym głosem zapewniła, że to nie jest jej córka. Syn milczał jak zakłęty. Twarz denatki była tak opuchnięta, że nadal należało się liczyć z możliwością pomyłki. Patołóżka zsunęła zatem do końca prześcieradło, ukazując ciało pokryte wybroczynami, zadrapaniami, brunatnymi strupami niezabliźnionych ran i poczerniałymi, zainfekowanymi kraterami – śladami po wkłuciach setek igieł od strzykawek. Starsza pani ścisnęła dłoń syna i pewniejszym już, zda się, zrezygnowanym głosem ponownie zapewniła, że spoczywająca przed nimi osoba to nie jest ich Camille. Syn stojący u boku matki rozchylił usta, ale nie wyartykułował słów, które miał na końcu języka, i tylko westchnął.

Doktor Léa Marquant wiedziała, że rozpiętość reakcji na widok zwłok jest nieograniczona. Niemniej nie mogła się powstrzymać, by szybko nie okryć z powrotem nagiego ciała,

w które młody człowiek wpatrywał się z trochę niezdrową fascynacją. Tym bardziej że zapewnił, iż go nie poznaje.

Z tyłu za nimi policjant wyjął z teczki protokół, zakreślił rubrykę „identyfikacja negatywna” i kazał matce i synowi go podpisać. A przecież miał nadzieję, że będzie mógł ofiarować tej bezimiennej biedaczce rodzinę. Na koniec zaproponował, że ich odprowadzi, na co grzecznie odmówili.

W taksówce, w drodze powrotnej do swojego domu w Saint-Cloud na przedmieściach Paryża, nie zamienili z sobą słowa. Matka odrzucała jakiegokolwiek poczucie winy. Postąpiła tak dla dobra rodziny, nawet jeśli Bóg któregoś dnia jej to wytknie i każe za to zapłacić własną duszą.

Syn siedział skulony, skoncentrowany na własnym oddechu. Na każdym zakręcie bał się, że zwymiotuje na skórzane siedzenia taksówki. Z żołądkiem podchodzącym mu do gardła czuł, że opuszczają go siły, że jego kończyny ogarnia mrowienie z rodzaju tych, które zapowiadają chorobę. Na moment odpłynął myślami i dopiero po chwili przypomniał sobie, gdzie jest i co tu robi.

Camille. On też ją rozpoznał. Swoją Camille. Swoją niemal siostrę. Rozpoznał ją i nic nie powiedział.

Część pierwsza

„To nie Hollywood, tylko Seine-Saint-Denis”
Komendant M.C. Damiani

Środa, 11 stycznia 2012

Coste otworzył jedno oko. Jego komórka leżąca na nieużywanej poduszce obok nie przestawała wibrować. Zmrużył powieki, by sprawdzić, która godzina. Wpół do piątej nad ranem. Zanim odebrał, wiedział już, że ktoś gdzieś dał się ukatrupić. W życiu Coste'a nie było żadnego innego powodu, by go budzić w środku nocy.

Oparty plecami o lodówkę, z której lada moment mogła odpaść samoprzylepna karteczka z napisem „kupić cukier”, krzywiąc się, wypił gorzką kawę. W ciszy swojej kuchni patrzył przez okno na uśpione domy, myśląc, że dzisiejszego ranka palące się u niego światło jako pierwsze rozjaśni całe miasto. Sprawdził broń przy pasie, włożył sweter i ciemny bezkształtny płaszcz, wsunął do kieszeni klucze. Służbowy peugeot 306 nie znosił zimna i nie chciał zapalić. Tego ranka i Victor Coste, i jego samochód byli w podobnym nastroju. Odczekał chwilę, zapalił papierosa, zakasłał, spróbował jeszcze raz. Po kilku zrywach silnik w końcu się rozgrzał, a wtedy puste ulice otworzyły przed nim długą aleję czerwonych świateł, na których spokojnie przejechał, by dotrzeć do szosy krajowej numer 3.

Cztery szare, niekończące się pasma są niczym ostrze zagłębiające się w serce przedmieścia. Podczas jazdy trzeba patrzeć na domy zmieniające się w większe budynki, na

budynki zmieniające się w bloki. Należy odwrócić wzrok od obozowisk Romów. W pobliżu torów kolei podmiejskiej jak okiem sięgnąć widać zwarte skupisko przyczep mieszkalnych. Na siatkach odgradzających tę grupę ludności, której się ani nie kocha, ani nie nienawidzi, suszy się bielelina. Najlepiej podnieść szybę, mijając miejskie wysypisko i jego wyziewy, ledwie kilkaset metrów od najbliższych budynków mieszkalnych. W taki właśnie sposób okazuje się respekt departamentowi 93 i jego mieszkańcom: zostawiając im pod nosem góry śmieci. Pomysł, który powinno się zaproponować w stolicy, *intra muros*, choćby po to, by zobaczyć reakcję paryżan. Chyba że biedacy i imigranci mają słabiej rozwinięty zmysł węchu... Potem minąć bezkresne parkingi firm budowlanych i przedsiębiorstw robót publicznych, pozdrawiając zawsze te same grupy ludzi pracujących na czarno, czekających na furgonetkę, która ich zabierze. Starać się rozpocząć ten nowy dzień bez poczucia zdołowania.

2

Pantin, godzina 5.15

Nieczynne magazyny nad kanałem Ourcq. Rozciągające się na tysiącach metrów kwadratowych niczym opuszczone miasteczko, rokrocznie mamione obietnicą, że zostaną rozebrane.

Ciąg pustych hangarów, w których w latach trzydziestych składowano towary z barek handlowych pływających po kanale. Z tego okresu przetrwało jedynie zardzewiałe żelazne monstrum z zamurowanymi bramami i rozbitymi oknami.

Miejsce, którego niegościnnosć podkreśla drobna mżawka.

Coste uniósł żółtą policyjną taśmę zabezpieczającą teren przed mało prawdopodobnymi o tej porze gapiami. Wyjął legitymację i pokazał ją umundurowanym policjantom. Roman, motocyklista z jego ekipy, zgasił papierosa, przywitał się i wręczył mu latarkę. Mruknąwszy w odpowiedzi na przywitaniu, Coste skierował snop światła na zardzewiałą metalową bramę odgradzającą ich od miejsca zbrodni.

Parokrotnie na nią napierali, aż w końcu ustąpiła z przeciągłym zgrzytem. Coste wraz z podążającym za nim Ronanem wszedł do środka. Pokonawszy schody wystarczająco strome, by mu przypomnieć, że niebawem stuknie mu czterdziestka, wkroczył do pomieszczenia w tych ciemnościach wyglądającego na przepastne. W świetle latarki ujrzał jedynie unoszący się w powietrzu pył. Jak spod ziemi pojawił się przed nim policjant.

– Pan z policji kryminalnej?

– Kapitan Coste. Powie mi pan, co jest grane?

Wskazując mu drogę, policjant zaczął:

– To cieć, znaczy pies ciecia zaczął szczekać. Wtedy ten ruszył tyłek i poszedł sprawdzić.

Odeskoczył na bok.

– Uwaga! Tu jest dziura. No więc poszedł sprawdzić i wtedy go tam znalazł, tego nieboszczyka...

Ronan półgłosem przyznał, że to bardzo dobre streszczenie, bardzo rzeczowe. Policjant źle to przyjął i odszedł. Coste i jego współpracownik znaleźli się sami przed czarnoskórym kolosem. Siedział na gołej ziemi z opuszczoną głową i z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała, które musiało mierzyć ze dwa metry. Na jego olśniewająco niegdyś białym swetrze, pośrodku klatki piersiowej ziały trzy dziury w otoczone zakrzepłej krwi.

Stojąc w milczeniu przed trupem, obaj policjanci poczuli się przez moment bardziej żywi niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ronan, znajdź tego glinę, którego wkurzyłeś, postaraj się wyciągnąć od niego trochę bardziej szczegółową relację i przekaż przez radio, że potrzebni nam technicy i lekarz. I poproś też o lampy na stojakach. Mocne.

3

Wzdłuż ściany hangaru biegł niekończący się przedłużacz zasilający dwa halogeny nakierowane na martwe ciało. Sam, ostatni nabytek Coste'a, majstrował przy spotach, dopasowując ich wysokość. Chudy i wyglądający na słabowitego, sprawiał wrażenie kogoś, kto trafił do policji przez pomyłkę. Albo przez przypadek. Stojąc na swoich długich nogach, patrzył

na wszystko wokół. Na wszystko, tylko nie na zwłoki drągała oświetlonego niczym gwiazda rocka i podziurawionego kulami.

– Coś nietęgo wyglądasz, Sam. Chyba nie za dobrze się czujesz.

– Wkurwiasz mnie, Ronan, do wyrzygania. Serio, Coste, wiesz, że tego nie lubię. Nie mógłbym pójść sprawdzić, czy mają tu jakieś kamery monitoringu, albo popytać trochę w sąsiedztwie, przynieść kawę? No nie wiem, cokolwiek...

– To chyba niezły pomysł z tym monitoringiem. Rozejrzyj się, włącznie z sąsiednimi ulicami. Ronan, bierz motor i jedź z nim. Wychodzimy ze zwykłego założenia, że sprawca lub sprawcy chcieli być cwani i nie załatwili ofiary na swoim terenie. Znajdźcie wszystkie możliwe drogi dojazdu. Szukamy wozu. Murzyna tego wzrostu nikt nie poniesie na plecach, rozglądajcie się za samochodem, furgonetką, jakimś pojazdem.

Coste sięgnął po krótkofalówkę.

– Aubin, gdzie jesteś?

Odbiór w ogromnym metalowym hangarze był bezna dziejny i trzeszczący głos wychrypiał jakąś niezrozumiałą odpowiedź. Coste popatrzył na swoją krótkofalówkę, próbując przypomnieć sobie dzień, kiedy działała jak należy. Wyjął komórkę.

– Aubin, gdzie jesteś?

– W drodze z dyżurnym lekarzem, odsypia przy mnie noc, za trzy minuty będziemy na miejscu.

Miejsce zbrodni objęli w posiadanie technicy z laboratorium kryminalistyki. Błyski fleszy trzaskających wokół denata nadały całej scenie żywy koloryt. Zdejmowanie odcisków, pieczętowanie petów, butelek i rozmaitych śmieci, wszystkiego, co można było znaleźć na podłodze zdewastowanego magazynu. Rutyna. Ludzie z zakładu medycyny sądowej w sterylnych białych kombinezonach, w maskach osłaniających usta i włosy, by nie zakazić próbek własnym DNA, poruszali się własnym rytmem, ignorując kolosa w centrum ich ruchów i powody, dla których tego styczniowego ranka dał się uśmiercić.

Jeden z techników zgasił oba halogeny i przy użyciu specjalnego oświetlacza sprawdził obrzeża sceny. Przesuwając niebieskawym światłem centymetr za centymetrem, szukał śladów krwi lub innych biologicznych płynów. Następnie wykrywaczem Blue Star rozpylił wokół zwłok roztwór luminolu; bez powodzenia, w pomieszczeniu nadal było ciemno. Szef laboratorium, brodaty facet o wyglądzie belfra w starym stylu, nazywany przez kolegów „Don't Touch”, wyjaśnił Coste'owi:

– Brak reakcji luminescencyjnej, brak śladów krwi. Twój chłopak tu nie zginął, tylko został przeniesiony. Teraz już możecie wszystkiego dotykać, skończyliśmy.

Podczas gdy technicy zbierali się do wyjścia, Aubin zaparkował samochód pod magazynem i obudził chrapiącego z otwartymi ustami lekarza.

– Jesteśmy na miejscu, doktorku.

Ten, nie otwierając oczu, od razu zaczął marudzić.

– I wszystko tylko po to, żebym obmacał jakiegoś trupa, niech was diabli.

– Przeklinasz jak glina, doktorku.

Na widok Mathiasa Aubina w pierwszej chwili Coste pomyślał, że chyba posiał po drodze lekarza, ale potem dostrzegł go z tyłu za nim. W cieniu Aubina każdy by zniknął, był potężny jak normandzka szafa, do tego wysoki i prosty jak wieżowiec, ze sfatygowaną i zmęczoną twarzą; kiedy się wkurzył, wyglądał jak Lino Ventura. W czasie ich pierwszego spotkania Coste'owi do głowy by nie przyszło, że Aubin stanie się jedną z nielicznych osób cieszących się jego zaufaniem. Dziesięć lat w departamencie 93 z całym syfem, jaki się z tym wiąże.

– Cześć, Victor – przywitał swoim ochrypłym głosem Coste'a.

– Dzień dobry, Mathias. Dzień dobry, doktorze.

– No to gdzie ten wasz człowiek?

– To jedyny nieboszczyk w pomieszczeniu, zapaliliśmy specjalnie halogeny, żeby go pan nie przeoczył.

Lekarz przykucnął przed denatem i stwierdził, że nawet w pozycji siedzącej jest od niego większy.

– Duży, nie powiem...

– Nieważne, duży czy nieduży, chcemy tylko wiedzieć, czy nie żyje.

– No więc nie żyje – profesjonalnym tonem potwierdził lekarz. – Śmierć ewidentna i bezsporna, liczne ślady kul na swetrze, przyczyna śmierci nie wygląda na naturalną. Wyrażam zgodę na sekcję, możecie go kroić. Teraz się tym nie zajmę, nie ma mowy, jest za wcześnie, wracam i idę spać. Przyślijcie nakaz rekwizycji sądowej do mojego zakładu.

Powiedziawszy to, wykonał w tył zwrot, lecz Aubin zastąpił mu drogę.

– Może dla pewności chociaż puls mu sprawdzisz, co?

– Kurwa, facet na zakrwawionym swetrze ma trzy wielkie dziury, od wielu godzin ani drgnie i to wam nie wystarcza?

Aubin ani drgnął w swojej wymownej pozie. Lekarz naciągnął więc lateksowe rękawiczki i przyłożył dwa palce na wysokości aorty ofiary.

– Nic, ani śladu tętna. Wystarczy? Mogę już iść czy mam jeszcze sprawdzić jego wszystkie szczepienia?

Aubin odprowadził go do wyjścia, a Coste wybrał numer do sądu, żeby zdać krótkie sprawozdanie dyżurującemu sędziemu.

– Brak dokumentów, znaleziony o trzeciej nad ranem przez nocnego stróża, zabity prawdopodobnie z broni palnej. Lekarz udzielił nam zgody, pan tylko wystawi zlecenie na sekcję... Dziękuję. Będziemy pana na bieżąco informowali, jak tylko pojawi się coś nowego.

Rozłączył się, obserwując ludzi z zakładu pogrzebowego, którzy z trudem zaciągali suwak czarnego worka, zbyt

krótkiego na tak wielkie zwłoki w środku. Na tyłu już nieboszczyków się napatrzył, że mógłby bez problemu jeść lody podczas dowolnej sekcji, więc teraz swoją nową, wyszykowaną do kostnicy zdobycz odprowadzał wzrokiem bez wzruszenia.

4

Doktor Léa Marquant, lekarka patolożka w paryskim Instytucie Medycyny Sądowej, pozostawała dla Coste'a zagadką. Jej ojciec był dyrektorem prywatnej kliniki w Paryżu, ale ona wolała obcować ze zmarłymi niż znosić narzekania żywych. Jej związane do tyłu ciemne włosy, jasnozielone oczy za okularami w cienkich prostokątnych oprawkach i czysta uśmiechnięta twarz stanowiły jaskrawy kontrast z jej umiejętnością przepiłowania w minutę czaszki czy wydobywania oburącz ludzkich trzewi. Coste, który widywał ją tylko w białym fartuchu, często się zastanawiał, jak też wygląda z rozpuszczonymi włosami i w mniej zakrwawionych ciuchach.

Specyfika ich relacji sprawiała, że spotykali się wyłącznie w przypadku podejrzanych zgonów, wtedy zaś Coste, korzystając z okazji, dyskretnie sprawdzał, czy na jej palcu nie pojawiła się obrączka.

Tego ranka szli razem jednym z długich korytarzy Instytutu.

- Ma jakąś historię ten pana klient?
 - Tak, historię martwego faceta znalezionego dziś rano w magazynie z trzema kulami w klatce piersiowej.
 - Wewnętrzne porachunki?
 - Możliwe. Resztę to już pani mi powie.
- Doktor Marquant przesunęła swoim identyfikatorem po magnetycznym zamku drzwi do prosektorium.

W zimnym świetle neonów ciało olbrzyma nabrało odcienia szarości. Jego stopy wystawały poza stół sekcyjny. Léa Marquant założyła maskę chirurgiczną, a potem po krótkiej chwili milczenia wykonała serię zdjęć.

- No dobrze, na początek rozetniemy ubranie i sprawdzimy uszkodzenia od kul.

Uniosła przód zakrwawionego swetra i od dołu po szyję go rozcięła. Nie spuszczać z niej wzroku, Coste wyjął maść tygrysią i posmarował sobie górną wargę. Za dziesięć minut oddychanie stanie się znośniejsze.

Bez trudu odkleiła sweter od skóry. Z niedowierzaniem kilkakrotnie przesunęła dłońią po nietkniętej piersi zmarłego. Ani śladu po kulach. Ani śladu ran.

- Szybko zdrowieje ten pana człowiek.

Coste podszedł bliżej. Stwierdził, że faktycznie. Głęboko westchnął. Spojrzał na lekarzkę. Był wkurzony, więc zrobił tak jak zwykle. Jak najprościej.

- Trzy dziury w swetrze, brak pokrywających się z nimi ran, w sweter ubrano go...

Dalsze wnioskowanie kontynuował już na własny użytek, w milczeniu.

– Nie cierpię tego – prychnęła Léa Marquant.

– Słucham?

– Startuje pan z jakąś hipotezą i już w myślach ją kończy.

– Przepraszam. Mówiłem sobie właśnie, że jeśli nasz nieznajomy nie zginął od postrzału, będzie pani musiała znaleźć jakąś inną przyczynę śmierci... A ja będę musiał wywieźć się o ten sweter.

Skończyła rozbieranie denata i wykonała następną serię zdjęć.

Spokojny. Z zamkniętymi oczami, całkiem nagi denat sprawiał wrażenie uspionego.

A przecież ta noc nie mogła być taka znów spokojna. Członek olbrzyma wielokrotnie aż po nasadę owinięty sznurkiem wyglądał jak czarne zwiędłe warzywo. Lekarka zatrzymała się przy tym, nachyliła i poprawiła ochronne okulary.

– Victorze, on chyba nie ma jaj.

Opanowała się i przybrała stosowniejszy ton.

– Chirurgiczne cięcie, po podwiązaniu odjęcie jąder. Musiało mu się to nie podobać, obrażenia najwyraźniej powstały *ante mortem*. Potwierdza to obecność u nasady członka czegoś, co mi wygląda na sznurek do pieczenia użyty w charakterze garoty.

– Niczego nie potwierdza. Precyzuje.

– Co masz na myśli, Sherlocku?

– Że komuś nie tylko zależało na tym, by mu je na żywca obciąć, ale i na tym, żeby żył jeszcze potem.

Kącik jej ust uniósł się w dyskretnym uśmiechu, lubiła żywy umysł tego policjanta. Badała dalej ciało centymetr po centymetrze, a następnie z pomocą Coste'a przewróciła je na brzuch.

– Stężenie pośmiertne objęło całe ciało, chociaż zachowało ono jeszcze pewną giętkość; śmierć nastąpiła nie wcześniej niż przed sześcioma godzinami. Pośmiertne ustanie funkcji życiowych, ciało wychłodzone. Nie zauważam ran ani innych widocznych obrażeń. Poszukam jeszcze ewentualnych wybroczyn podskórnych.

Przysunęła do siebie stolik narzędziowy i wybrała skalpel. Mocno naciskając, rozplątała głęboko skórę i ciało na całej długości lewej łydki. Mięsień rozwarł się szeroko jak czerwony kwiat.

Mimo ogólnej obojętności olbrzym z twarzą przyciśniętą do stołu wytrzeszczył jedno oko.

– Nie widzę nic szczególnego, brak śladów ciosów.

Patolożka nachyliła się, schwyciła mocno drugą łydkę i równie szybkim i precyzyjnym ruchem wykonała na niej takie samo cięcie.

I wtedy denat z przejmującym, ogłuszającym jękiem uniósł się na łokciach. Coste i doktor Marquant zamarli. Wykręcając szyję, olbrzym spojrział do tyłu na swoje rozplątane łydki, po czym przeniósł spojrzenie na stojących przed nim kobietę i mężczyznę. Spróbował wstać, ale zdołał tylko zsunąć się ze stołu, z brzękiem metalu i tłuczonego szkła przewracając stoliki z narzędziami i próbkami. Zwaliwszy

się na ziemię, schwycił pierwszy z brzegu skalpel i wyciągnął go przed siebie. Coste, zasłaniając sobą learkę, sięgnął po broń i wymierzył w jego ramię.

Niezdolny stanąć na własnych nogach, podpierając się rękami, mężczyzna z wielkim wysiłkiem, nadal trzymając skalpel, czołgał się po biało-krwistej posadzce w kąt sali. Dygotał, spojrzenie miał puste i rozbiegane. Coste poczuł się śmieszny, mierząc do człowieka w stanie szoku, i schował broń.

– Kurwa, ten pana człowiek naprawdę szybko zdrowieje.

5

*Stacja metra Quai de la Rapée nad Sekwaną,
kilka metrów od Instytutu Medycyny Sądowej*

Pasażerowie jadący tym metrem mijają niepozorny budynek z czerwonej cegły bez świadomości, że za jego ścianami, w kostnicy spoczywają zwłoki ze swoimi ostatnimi tajemnicami. Czasami, i tylko na tej stacji, w powietrzu wyczuwa się specyficzny zapach. Tylko policjanci i lekarze potrafią go rozpoznać. Zapach śmierci. Wryty w pamięci niczym ostrzeżenie. Niezmienny cykl tanatomorfozy. Zgon, schłodzenie, stężenie pośmiertne, odwodnienie, sinica, rozkład.

Niektóre zwierzęta od urodzenia przywierają do ziemi, by ukryć się w trawie i uchronić przed drapieżcami. To wrodzony instynkt: samozachowawczy.

Poczuwszy smród zepsutego mięsa w połączeniu z krwią i ekskrementami, nasza podświadomość z miejsca rozpoznaje nieuchronny, trwale zapisany w pamięci odór. To wrodzony instynkt: przecucie śmierci.

Coste, oparty o kamienną balustradę mostu Morland sąsiadującego z wejściem do Instytutu Medycyny Sądowej, wpatrywał się w brudnozieloną Sekwanę. Mewy o usmolonych piórach walczyły o jakieś odpadki kołyszące się na wodzie. Znów myślał o inscenizacji w magazynie w Pantin i o trudzie, jaki musiał sobie zadać pokrętny chory umysł, by swoją ofiarę wykastrować, a potem ubrać w podziurawiony kulami sweter i wysłać na stół sekcyjny.

Morderstwo to pchnięcie nożem, strzał z broni palnej, silny cios żelaznym prętem. Coś spontanicznego, pełnego w pośpiechu i niemal bez zastanowienia. Morderstwo to często fuszerka. A już na pewno nie teatralna inscenizacja.

Czuł, że za tym wszystkim kryją się kłopoty.

Ambulans próbował wcisnąć się między dwa samochody, by zaparkować tyłem przed wejściem do Instytutu Medycyny Sądowej. Po raz drugi Coste ujrzał ciało kolosa, już nie martwego, podłączonego do kroplówki i przenoszonego na oddział medycyny sądowej szpitala Jean-Verdier w Bondy. Odrzucił papierosa, który w zwolnionym tempie zawirował w powietrzu i zgasł w zetknięciu z wodą. Wyjął komórkę i zrelacjonował Aubinowi osobliwy obrót, jaki przybrało to śledztwo.

– Postaw kogoś na straży przed jego pokojem, dopóki się nie ocknie. Zabieram jego łachy i próbki i posyłam wszystko do porównania DNA. Liczę, że coś to da, ale wątpię, by krew na swetrze należała do niego.

– Druga ofiara?

– Dobry początek roku.

Coste wszedł do swojego samochodu. Za przeszkłonymi drzwiami Instytutu dostrzegł doktor Marquant. W jednej ręce trzymała kubek z kawą, drugą nerwowo wrzucała monety do dystrybutora ze słodyczami. Przed chwilą otworzyła żywego człowieka, a coś takiego może chwilowo zakłócić codzienność. Z pewnością trudno jej się będzie z tego wytłumaczyć.

Powinien się z nią spotkać. Porozmawiać. Usprawiedliwić się.

Ale z czego się usprawiedliwić?

Westchnął i odjechał.

6

Bobigny, komenda policji

Prostokątny dwupiętrowy labirynt ze szkła i metalu, z podłużnym, zamkniętym ogrodem pośrodku. Na parterze komisariat i codzienne zwykłe wykroczenia. Na pierwszym

piętrze okręgowy wydział do walki ze średnią przestępczością. Im wyżej, tym wyższa szkodliwość przestępstwa.

Na ostatnim piętrze mieści się Okręgowy Wydział Policji Kryminalnej dla Seine-Saint-Denis. OWPK 93.

W jego północnym skrzydle są biura brygady antynarkotykowej i stale wiszący w powietrzu zapach marihuany z ostatnich konfiskat. Nieregularne godziny pracy, zmęczone twarze, ludzie wyglądem niewiele różniący się od kloszardów, tak że czasem trudno odróżnić glinę od jego informatora. Dalej przestępstwa finansowe, ludzie trochę lepiej wyglądający, wyższa klasa, jedyni, u których można znaleźć herbatę, siedzący nad wielotomowymi, tysiącstronicowymi aktami przestępstw gospodarczych jako jedyną ozdobą pokoi. W głębi wydział śledztw i poszukiwań w nieustannej gorączce, wyspecjalizowany w gwałtach i uprowadzeniach, ledwie zdąży zamknąć jedną sprawę, a już otwiera dwie następne.

W skrzydle południowym grupa do walki z przestępczością zorganizowaną i ich sztandar z trupią czaszką. Oni są od napadów dokonywanych przy użyciu karabinu szturmowego lub granatnika. Trzeba trochę odbiegać od normy, żeby zajmować się tym na co dzień, więc trupia czaszka w charakterze maskotki jest w pełni uzasadniona. I wreszcie dwa zespoły do spraw zabójstw, gdzie lądują wszystkie morderstwa w departamencie 93. Sześć pokoi rozdzielonych prywatną szatnią, w której suszą się zakrwawione ubrania ostatnich ofiar przed ich opieczętowaniem. Szatnia jest najczęściej pełna,

nierzadko policjanci wywieszają w oknach poszarpane swetry lub podarte spódnice.

Przeście korytarzami policji kryminalnej to zetknięcie się z tym, co w człowieku najgorsze.

Naprzeciwko komendy, ledwie kilka metrów dalej, mieści się sąd drugiej instancji w Bobigny, budowla na pięć pięter i trzy podziemia w kontrowersyjnym stylu konstrukcji z klocków Lego.

Po jednej stronie policja, po drugiej wymiar sprawiedliwości. Ramię w ramię, w samym sercu 93, niczym dwa wojenne okręty stawiające czoło falom przedmieść otaczających je aż po horyzont.

W pokoju pierwszej grupy śledczej Coste włączył komputer. Ikonka poczty mailowej podskoczyła, okazało się, że odciski palców szybko znalazły właściciela. Coste połączył się ze zbiorczym serwerem, wszedł do bazy danych osobowych policji kryminalnej i na głos, tak by Aubin mógł usłyszeć, odczytał raport z identyfikacji.

– Nie wiem, czy wyczujesz tę ironię, ale nasz olbrzym ma na imię Bébé. Bébé Coulibaly, urodzony w 1985... Czyli ma dwadzieścia siedem lat. Miejsce zamieszkania: osiedle Paul-Vaillant-Couturier w Bobigny.

W reakcji na podane informacje siedzący przy sąsiednim biurku Aubin stuknął w klawiaturę, przeszukując kartotekę policyjną.

– Jest. Bébé Coulibaly. Brak listu gończego, brak samochodu, brak prawa jazdy. Ma za to piękne konto w rejestrze

wykroczeń. Daruję ci jego błędy młodości, za to w pierwszych latach po uzyskaniu pełnoletności mamy kradzież z bronią w rękę, a od 2005 wyspecjalizował się w narkotykach. Odsiadyje za handel dwa lata we Fleury, w 2008 wychodzi i słuch po nim ginie aż do 2010 roku, kiedy to funduje sobie spektakularny *comeback*... Oskarżenie o gwałt, które kończy się wycofaniem skargi. Klasyka.

– Klient aż miło. Teraz pozostaje się dowiedzieć, co nam powie, kiedy się ocknie. Póki co, sprawdź w SALVAC-u.

Aubin skrzywił się. Dość arbitralnie został wyznaczony do obsługi programu SALVAC przez szefową ich wydziału, która z kolei otrzymała polecenie od naczelnego komisarza Stévenina, a ten bez wątpienia wypełniał rozkaz jakiegoś wysoko postawionego gościa w szytym na miarę garniturze.

SALVAC jest jedną z największych baz danych o zbrodni. Kompiluje, analizuje i szuka powiązań, wychwytyjąc zbieżności między śledztwami. Znajduje metody działania, miejsca, daty, wykroczenia, opisy i profile psychologiczne zidentyfikowanych sprawców. Jeśli czyny zdają się wskazywać na tego samego sprawcę – lub tę samą organizację przestępczą – aktualnie prowadzone śledztwa łączy się i prokurator wyraża zgodę na przekazanie ich najbardziej kompetentnej służbie policyjnej. Opracowany i od dwudziestu lat używany przez Kanadyjczyków program SALVAC w 2005 roku został wdrożony we Francji, a w sekcji 93 przydzielono do niego Aubina, który starał się jak najlepiej wywiązać z zadania.

Otworzył program. Wprowadził swój numer i kod dostępu. Ekran zadrżał, po czym interfejs go zidentyfikował: AUBIN MATHIAS – MLE 46556X – OWPK 93.

– OK. Wprowadziłem metodę działania i wstępne opisy... Jutro dowiemy się od analityków, czy pokrywają się z inną sprawą.

Do pokoju weszli Sam i Ronan, nie przerywając ożywionej rozmowy, z której wynikało, że jazda motocyklem po obwodnicy z szybkością ponad 140 kilometrów na godzinę jest czystą głupotą i przy takiej szybkości prawdopodobnie nawet android miałby problem z uniknięciem kolizji z innym samochodem. Opadli na starą czerwoną kanapę naprzeciwko biurka Aubina i kapitana Coste'a.

– Nie mamy nic. Żadnego wideomonitoringu i żadnego świadka.

– Z drugiej strony... – ciągnął Sam – byłoby dziwne, gdyby w opuszczonych fabrykach i w środku nocy dało się coś znaleźć. Dodam, że Ronan jeździ jak wariat i ja z nim na motor więcej nie wsiądę. Przy takiej szybkości nawet android...

– Ale co cię, do cholery, dziś naszło z tymi androidami? Zamiast odstawiać mądrą, opowiedz raczej o twoich poszukiwaniach geeka...

Sam, trochę skrępowany, zaczął:

– Pewnie weźmiecie mnie za szczeniaka goniącego za sensacją, ale poszukałem trochę w internecie. Wiecie, co to jest zombie?

- Jaja sobie robisz? – uniósł się Coste.
- Zaczekaj, zanim zaczniesz gardłować.

Wyjął z plecaka tablet i przesuwając palcem po ekranie, znalazł fragment tekstu, o który mu chodziło.

– W haitańskiej mitologii wudu nazywa się ich żywymi trupami. Wudu to religia wyznawana od Afryki po Amerykę Południową. Znalazłem to na stronie, która nazywa się „Dark Refuge”. Zombie to biedny facet, ofiara kapłana wudu nazywanego hounganem, który podaje mu tetrodotoksynę, narkotyk pozyskiwany z ryby rozdymkowatej lub ropuchy żyjącej w trzcinie cukrowej. To coś paraliżuje emocje i ruchy, ale mimo to zombie pozostaje świadomy i słyszy wszystko, co się wokół niego dzieje. Zostaje pochowany, potem go odkopują i dzięki odtrutce wychodzi z letargu, żeby stać się niewolnikiem. Autor tej strony mówi jeszcze, że nawet w XXI wieku spotyka się świadków, którzy opisują wykorzystanie takich niewolników zombie w gospodarstwach rolnych.

Coste uspokoił się trochę, ale nadal nie był przekonany.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, najpierw obejrzę wyniki analizy krwi. A jak nie wypali, zafunduję ci z własnej kieszeni bilet na Haiti.

- A ja się dołożę – zakończył Ronan.

Coste zwrócił się do Aubina, który śmiał się jakby trochę na siłę.

– Nie będzie ci ich brakowało, kiedy przeniosą cię do Annecy?